ALBATROS

Powieść nagrodzona
National Book Award

REBEKA

Autorka, która zainspirowała
Alfreda Hitchcocka i Stephena Kinga.

Daphne
du Maurier

Tytuł oryginału:
REBECCA

Copyright © The Estate of Daphne du Maurier 1938
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Ewentualnych spadkobierców tłumaczki, Eleonory Romanowicz-Podoskiej, prosimy o kontakt

Korekta: Danuta Wdowczyk, Jolanta Rososińska

Ilustracja na okładce i obwolucie: Lisla/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki i obwoluty: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

ALBATROS

1

Śniło mi się tej nocy, że znowu byłam w Manderley. Wydawało mi się, że stoję przed bramą z kutego żelaza prowadzącą do alei wjazdowej, nie mogę jednak wejść, gdyż brama jest zamknięta. Wisi na niej łańcuch z kłódką. We śnie zawołałam dozorcę, ale nikt się nie odezwał, a gdy zajrzałam przez zardzewiałe sztachety, zobaczyłam, że domek dozorcy jest niezamieszkany.

Z komina nie unosił się dym, małe okienka ziały pustką. Nagle, jak to bywa we śnie, zostałam obdarzona nadprzyrodzoną mocą i przeniknęłam jak duch przez bramę zagradzającą mi drogę. Aleja wjazdowa wiła się jak dawniej, wieloma skrętami, ale idąc po niej, uświadomiłam sobie, że jednak coś się zmieniło. Teraz aleja była wąska, zapuszczona, niepodobna do tej, jaką znaliśmy przed laty. Najpierw dziwiło mnie to i zastanawiało, dopiero gdy schyliłam głowę, by nie uderzyć się o nisko zwisającą gałąź, zrozumiałam, co się tu stało. Natura objęła wszystko ponownie w swoje posiadanie, powoli zagarniając aleję swymi podstępnymi mackami. Lasy, które zawsze nam zagrażały, wreszcie odniosły zwycięstwo. Tworzyły ciemną, nieprzeniknioną gęstwinę po obu stronach alei. Buki o białych, nagich pniach chyliły się ku sobie, a gałęzie splecione w dziwnym uścisku tworzyły nad moją głową łuk niby sklepienie nawy kościelnej. Były tam także inne, nieznane mi drzewa, skarłowaciałe dęby i powykrzywiane wiązy o konarach sczepionych silnie z gałęziami buków. Wyrosły one na tej ziemi, a wśród nich olbrzymie krzewy i różne rośliny, których dawniej nie było.

Aleja wiła się teraz jak wstążka. Zniknął żwir, powierzchnię porosła trawa i mech. Po dawnej alei pozostało tylko wspomnienie. Gałęzie drzew zwisały nisko, utrudniając przejście. Pokręcone korzenie przypominały gigantyczne szpony. Tu i ówdzie wśród tej dżungli rozpoznawałam krzewy, które za naszych czasów stanowiły ozdobę parku – hortensje, piękne okazy sztuki ogrodniczej, słynące ze swych wspaniałych niebieskich kwiatów. Nieprzycinane ręką ludzką zdziczały i wybujały do potwornej wysokości, bezkwietne, czarne i brzydkie jak rosnące obok nich nieznane intruzy.

Coraz dalej i dalej, to na wschód, to na zachód, wiła się nędzna ścieżynka, która ongiś była naszą aleją wjazdową. Niekiedy myślałam, że całkowicie zanikła, lecz pojawiała się znowu spod zwalonego pnia lub przebijała przez błotnisty rów powstały po zimowych deszczach. Nie przypuszczałam, że aleja jest aż tak długa. Widocznie mile pomnożyły się podobnie jak drzewa, a ścieżka wiodła nie do domu, lecz do jakiegoś labiryntu, do dzikiej gęstwiny. Nagle przede mną ukazał się dom, do ostatniej chwili ukryty przez niezwykle wybujały, ogromny krzew, rozrastający się na wszystkie strony. Stałam z bijącym sercem i czułam, jak do oczu napływają mi łzy.

To było Manderley, nasze Manderley, tajemnicze i ciche jak zawsze. Szare mury lśniły w księżycowym blasku mojego snu, w gotyckich oknach odbijał się zielony trawnik i taras. Czas nie mógł zniszczyć doskonałej proporcji budowli ani samego położenia domu, które można przyrównać do klejnotu umieszczonego we wgłębieniu dłoni.

Taras schodził na trawniki ciągnące się aż do morza. Gdy się odwróciłam, ujrzałam srebrną taflę wody zastygłą w świetle księżyca, podobną do gładkiej powierzchni jeziora. Najlżejsza fala nie marszczyła tej tafli widzianej we śnie, ani jedna chmurka, gnana wiatrem z zachodu, nie zaciemniała jasności bladego nieba. Odwróciłam się znowu w stronę domu i choć stał nietknięty, jakby opuszczony dopiero wczoraj, spostrzegłam, że ogród, podobnie jak lasy, uległ prawu dżungli. Rododendrony

wysokości pięćdziesięciu stóp, oplecione paprociami, zwarły się w uścisku z nieznanymi nędznymi krzewami, które natrętnie czepiały się ich korzeni, jak gdyby wiadome swego gorszego pochodzenia. Bez złączył się z miedzianym bukiem, a złośliwy bluszcz, odwieczny wróg piękna, oplątał tę parę, wiążąc ją jeszcze silniej i pozbawiając wolności. Bluszcz panował niepodzielnie w opuszczonym ogrodzie. Jego długie pędy pełznące po trawnikach wkrótce wedrą się na dom. Zobaczyłam również jakąś zdziczałą roślinę leśną, której nasiona niegdyś rozsiały się pod drzewami. Teraz maszerując razem z bluszczem, zdziczałe leśne rośliny, podobne do ogromnego rabarbaru, wpełzały w całej swej brzydocie na soczystą trawę, w której zwykle kwitły żonkile.

Wszędzie rosły pokrzywy, przednia straż armii dżungli. Smukłe chwasty wdarły się na taras, pokryły ścieżki, podeszły nawet pod okna domu. Nie były czujnymi strażnikami, gdyż w wielu miejscach szeregi ich przerwała roślina podobna do rabarbaru. Pokrzywy leżały ze zgniecionymi wierzchołkami i suchymi łodygami, tworząc przejścia dla królików. Z alei weszłam na taras, gdyż pokrzywy nie stanowiły dla mnie we śnie przeszkody. Szłam jak zaczarowana, nic nie mogło mnie powstrzymać.

Blask księżyca przedziwnie oddziaływa na wyobraźnię, nawet na wyobraźnię śpiącego. Gdy tak stałam w milczeniu, bez ruchu, mogłabym przysiąc, że dom nie jest pustą skorupą, lecz żyje dawnym życiem.

Światło padało z okien, firanki poruszał lekko podmuch nocnego wiaterku, a tam w bibliotece z pewnością drzwi są na wpół uchylone, tak jak je zostawiliśmy, wychodząc. I moja chustka zapewne leży na stole przy wazonie z jesiennymi różami.

W pokoju powinny znajdować się ślady naszej obecności. Mały stos książek z czytelni przygotowanych do zwrotu, porzucony egzemplarz „Timesa". Popielniczki z niedopałkami, poduszki leżące na fotelach, na których wyraźnie widnieją wgłębienia odciśnięte przez nasze głowy, kłody żarzące się aż do rana w kominku. I Jasper, kochany Jasper, z oczami pełnymi

wyrazu, z obwisłymi wargami, wyciągnięty na dywanie, stukając ogonem o podłogę na odgłos kroków swego pana.

Obłok, dotychczas niewidoczny, przesłonił księżyc niby ręka zakrywająca twarz. Złudzenie prysło i światła w oknach pogasły. Patrzyłam na opuszczony dom. Teraz nie było już w nim życia, nie nawiedzały go duchy i szept przeszłości nie rozbrzmiewał wśród pustych ścian.

Dom ten był grobowcem. Nasz strach i cierpienia pogrzebane zostały w jego ruinach. I już nie zmartwychwstaną. Gdy wspomnę Manderley, nie będzie we mnie goryczy. Będę myśleć o takim Manderley, jakim byłoby, gdybym tam mogła żyć bez strachu. Będę wspominać ogród różany w lecie, ptaki śpiewające o świcie, podwieczorki pod kasztanem i szum morza dobiegający z oddali. Będę myśleć o kwitnących bzach i Dolinie Szczęścia. Są to wartości trwałe, które nie mogą zaniknąć. Są to wspomnienia, które nie sprawiają bólu. Postanowienia te powzięłam we śnie, podczas gdy obłok przesłaniał tarczę księżyca, bo podobnie jak większość śpiących ludzi wiedziałam, że to jest sen.

W rzeczywistości znajdowałam się w obcym kraju, oddalona o wiele setek mil od Manderley, i miałam się obudzić za kilka sekund w małym, skromnym pokoju hotelowym, dodającym otuchy swoją banalnością. Po obudzeniu westchnę, przeciągnę się, odwrócę, a gdy otworzę oczy, ogarnie mnie zdumienie na widok jaskrawego słońca i czystego nieba, tak odmiennych od łagodnego światła księżyca w moim śnie. Oczekiwał nas dzień, niewątpliwie długi i monotonny, lecz nasycony spokojem, którego nie zaznaliśmy dotychczas. Nie będziemy mówić o Manderley, nie opowiem mojego snu, gdyż Manderley nie należy już do nas. Manderley już nie istnieje.

2

Nigdy nie wrócimy do Manderley, to jedno jest pewne. Przeszłość jest jeszcze zbyt bliska. To, o czym staraliśmy się zapomnieć i pozostawić za nami, odżyłoby na nowo. Uczucie strachu i tajemnego niepokoju, przeradzające się z biegiem czasu w obłędne przerażenie – obecnie, dzięki Bogu, stłumione – mogłoby w jakiś nieprzewidziany sposób stać się stałym towarzyszem, tak jak to było dawniej.

On jest niezwykle cierpliwy i nigdy się nie skarży, nawet wówczas, gdy ogarniają go wspomnienia, a zdarza się to częściej, niż się do tego przyznaje.

Domyślam się, że wraca do przeszłości, kiedy nagle staje się daleki i zadumany, a z kochanej twarzy znika wszelki wyraz, jak gdyby przesunęła się po niej niewidzialna ręka; kiedy twarz jego staje się maską, rzeźbą – klasyczną i zimną, piękną, lecz bez życia. Pali wówczas papierosa za papierosem, nie gasząc ich, a żarzące się niedopałki leżą dokoła na ziemi jak płatki kwiatów. Mówi szybko, żarliwie o byle czym, czepiając się jakichkolwiek tematów, jakby to był środek uśmierzający ból. Podobno istnieje taka teoria, że przeżyte cierpienia udoskonalają zarówno mężczyzn, jak i kobiety i że aby osiągnąć coś na tym lub innym świecie, musimy przejść próbę ognia. Przeszliśmy tę próbę w całej pełni. Oboje poznaliśmy, co to jest strach, samotność i wielkie nieszczęście. Przypuszczam, że na każdego człowieka prędzej czy później przychodzi chwila próby. Każdy z nas

ma swojego demona, który go tyranizuje i zadręcza, aż wreszcie trzeba mu wypowiedzieć walkę. Myśmy już pokonali naszego demona, a przynajmniej tak nam się wydaje.

Zły duch nie gnębi nas więcej. Przeszliśmy przez naszą próbę, oczywiście nie bez szwanku. On słusznie przeczuwał nieszczęście od samego początku. Wzorem deklamującej z patosem aktorki w podrzędnej sztuce mogę powiedzieć, że drogo zapłaciliśmy za wolność. Dość już miałam melodramatu w życiu i chętnie oddałabym moje pięć zmysłów, gdyby to mogło zapewnić nam nadal obecny spokój i bezpieczeństwo. Szczęście nie jest wartością, którą można ocenić, jest to sposób myślenia, stan umysłu. Oczywiście nachodzą nas chwile depresji, lecz są również inne chwile, kiedy czas nieodmierzany zegarem biegnie w wieczność, a ja, widząc Jego uśmiech, wiem, że jesteśmy razem, że kroczymy zgodnie naprzód, że nie dzieli nas żadna różnica myśli czy zdań. Nie mamy przed sobą teraz żadnych tajemnic. Dzielimy się wszystkim. Wprawdzie nasz mały hotelik jest nudny, jedzenie marne i jeden dzień podobny do drugiego, ale nie chcemy, żeby było inaczej. Spotkalibyśmy za dużo Jego znajomych w każdym wielkim hotelu. Oboje lubimy prostotę, a jeśli czasami jesteśmy znudzeni – cóż, nuda to przyjemna odtrutka na strach. Życie nasze płynie utartym trybem, a ja… ja odkryłam w sobie talent do czytania na głos. On okazywał zniecierpliwienie jedynie wtedy, gdy spóźniał się listonosz, bo oznaczało to, że musimy czekać do następnego dnia na pocztę z Anglii. Próbowaliśmy słuchać radia, ale hałas jest zbyt denerwujący. Wolimy więc przedłużać przyjemność oczekiwania na gazety. Wynik meczu krykieta, choć dowiadujemy się o nim dopiero po wielu dniach, nie przestaje być dla nas interesujący.

Jakże często od nudy ratowały nas wiadomości o meczach krykieta rozgrywanych przez Wielką Brytanię z dominiami albo opis zawodów bokserskich lub nawet wyniki meczów bilardowych. Finały turniejów szkolnych, wyścigi psów, różne dziwne współzawodnictwa w zapadłych hrabstwach, wszystkie te wiadomości stanowiły pokarm dla naszych zgłodniałych umys-

łów. Niekiedy trafiają do moich rąk stare egzemplarze miesięcznika „Field", a wówczas przenoszę się z tej obojętnej dla mnie wyspy do krainy angielskiej wiosny. Czytam o strumieniach spływających po wapiennych skałach, o wiosennych muszkach, o szczawiu rosnącym na zielonych łąkach, o wronach krążących nad lasami, o wszystkim, co przypomina mi Manderley. Z tych przez tyle osób przeglądanych i podniszczonych kartek unosi się zapach mokrej ziemi, ostra woń torfu na moczarach, przypominają mi one również mokry mech uginający się pod stopami, upstrzony tu i ówdzie białymi plamami przez czaple.

Kiedyś znalazłam artykuł o dzikich gołębiach. Gdy czytałam go głośno, wydawało mi się, że znowu zaszyłam się w gęstwinę lasu w Manderley, a gołębie latają nade mną. Słyszałam ich ciche, pełne tkliwości nawoływania, tak kojące i rzeźwiące w upalne letnie popołudnie. Nic nie zakłócało spokoju ptaków, dopóki Jasper, szukając mnie, nie przebiegł przez zarośla, węsząc wilgotnym pyskiem przy ziemi. Gołębie wylatywały wówczas z ukrycia w nierozsądnym popłochu i uderzając skrzydłami z wielkim hałasem, znikały nam z oczu, szybując nad wierzchołkami drzew. Po ich odlocie cisza znowu spadała na las, a ja – nie wiadomo dlaczego – czując się nieswojo, uświadamiałam sobie, że słońce nie złoci już szeleszczących liści, że pociemniały gałęzie, że wydłużyły się cienie, w domu zaś czekają na podwieczorek świeże maliny. Wstawałam wówczas z posłania z paproci, strzepywałam ze spódnicy delikatny pył zeszłorocznych liści, przywoływałam gwizdem Jaspera i kierowałam się do domu, gardząc sobą za przyśpieszony krok, za spojrzenia rzucane przez ramię.

Jakie to dziwne, że artykuł o dzikich gołębiach mógł tak żywo przypomnieć przeszłość. Zaczęłam się jąkać przy czytaniu. Pobladła kochana twarz sprawiła, że przerwałam nagle i zaczęłam przewracać stronice, aż znalazłam wzmiankę o krykiecie, bardzo rzeczową, bardzo nudną. Jakże wtedy błogosławiłam tych flegmatycznych graczy w białych flanelowych strojach, gdyż po kilku minutach na Jego twarzy pojawił się wyraz spokoju.

Bladość jego zniknęła i zaczął ze zdrowym podnieceniem krytykować jedną z drużyn za nieudolną grę.

Uniknęliśmy powrotu w przeszłość, a ja dostałam nauczkę. Czytaj o wiadomościach z Anglii, o angielskim sporcie, polityce i ceremoniach, ale w przyszłości zachowaj dla siebie samej słowa, które mogą ranić. W tajemnicy mogę sobie na nie pozwolić. Barwy, zapachy i dźwięki, deszcz i szmer fal, nawet jesienne mgły i zapach przypływu to są wspomnienia z Manderley, wspomnienia nie do zabicia. Niektórzy ulegają nałogowi czytania rozkładu kolejowego. Wymyślają niezliczone podróże po kraju, zabawiając się wyszukiwaniem najtrudniejszych połączeń. Mój konik jest mniej nudny, choć równie dziwny. Jestem kopalnią wiadomości o angielskiej wsi. Znam nazwisko każdego właściciela terenów łowieckich, a nawet nazwiska dzierżawców nie są mi obce. Wiem, ile zabito pardw, ile kuropatw, ile jeleni. Wiem, gdzie łowi się pstrągi i gdzie skaczą łososie. Biorę udział we wszystkich polowaniach par force na lisy. Nawet nazwiska ludzi, którzy tresują młode psy gończe, są mi dobrze znane. Stan urodzajów, cena opasów, tajemnicze choroby świń – rozkoszuję się tymi wiadomościami. Może to mierna rozrywka i nie bardzo intelektualna, ale gdy czytam o wsi, wdycham powietrze Anglii i spoglądam z większą odwagą na rozsłonecznione niebo.

Nędzne winnice i rozsypujące się murki kamienne przestają mnie nużyć, gdyż jeśli chcę, popuszczam wodze fantazji i zrywam naparstnice oraz blade firletki spod ociekających deszczem żywopłotów.

Jakże miłe są te kaprysy wyobraźni, łagodzą one gorycz i żal, osładzają nam nasze dobrowolne wygnanie. Dzięki tym kaprysom spędzam przyjemnie popołudnie i wracam, odświeżona i uśmiechnięta, na skromny rytuał podwieczorku. Zamawiamy niezmiennie to samo – po dwa kawałki chleba z masłem i chińską herbatę. Jak bardzo musimy wydawać się konwencjonalni, trzymając się uparcie zwyczajów, tak jak to robiliśmy w Anglii. Tu, na tym jasnym balkonie, liczącym setki lat, zbielałym od

słońca, przypomina mi się godzina wpół do piątej w Manderley i stół przysunięty do kominka w bibliotece. Punktualnie co do minuty otwierały się drzwi i zaczynał się niezmienny ceremoniał nakrywania do stołu – srebrna taca, imbryk, śnieżnobiały obrus. Jasper, o długich, zwisających uszach spaniela, udaje obojętność na widok ciastek. Taką ucztę mieliśmy codziennie, a jedliśmy tak mało.

Mam teraz przed oczami ociekające masłem placuszki. Cienkie, chrupiące trójkąciki grzanek i gorące pszenne ciasteczka. Wyśmienite sandwicze o nieznanych składnikach i zagadkowym zapachu oraz ten nadzwyczajny piernik. Tort hiszpański rozpływający się w ustach i jego solidniejszy towarzysz – placek ze skórką pomarańczową i rodzynkami. Jedzenia tego starczyłoby na wyżywienie jednej głodującej rodziny przez cały tydzień. Nie wiedziałam, jaki był dalszy los tych smakołyków, i często martwiło mnie to marnotrawstwo.

Nigdy jednak nie ośmieliłam się spytać pani Danvers, co z tym wszystkim robiła. Spojrzałaby na mnie pogardliwie, ze swoim zimnym uśmiechem wyższości na ustach, i powiedziałaby zapewne:

– Nigdy za życia pani de Winter nie robiono mi żadnych wymówek.

Pani Danvers. Ciekawa jestem, co ona teraz robi. Ona i Favell. Sądzę, że to właśnie wyraz jej twarzy wywołał we mnie po raz pierwszy uczucie niepokoju. Pomyślałam wówczas: „Ona mnie porównuje do Rebeki" i cień tamtej przesunął się między nami…

Wszystko minęło, skończyło się wreszcie. Żaden demon mnie już nie dręczy, oboje jesteśmy wolni. Nawet mój wierny Jasper przeniósł się do krainy wiecznych łowów, a Manderley już nie istnieje. Niby pusta muszla leży martwe wśród gęstwiny lasów, tak jak to widziałam we śnie. Gąszcz chwastów, królestwo ptaków. Niekiedy może jakiś włóczęga zawędruje tam, szukając schronienia przed ulewą, i jeśli jest odważny, ujdzie mu to bezkarnie. Lecz ktoś nieśmiały, jakiś bojaźliwy kłusownik, niech nie zapędza się w lasy Manderley. Mógłby trafić do małego

domku nad zatoką, lecz nie zaznałby spokoju pod jego rozpadającym się dachem, gdy krople deszczu wybijają na nim swój rytm. Może tam wciąż jeszcze panuje nastrój pełen grozy… A także ten zakręt alei, gdzie drzewa wdzierają się na żwir, nie jest miejscem, w którym należy się zatrzymywać, zwłaszcza po zachodzie słońca. Szum liści przypomina szelest sukni balowej, a gdy liście nagle zadrżą, opadną i rozsypią się po ziemi, może się wydawać, że to odgłos szybkich kroków kobiecych, a wgłębienia w żwirze – to ślady jedwabnych pantofelków na wysokich obcasach.

Gdy wspominam to wszystko, z ulgą spoglądam na widok roztaczający się z naszego balkonu. Żaden cień nie przesłania jaskrawego blasku, kamieniste winnice lśnią w słońcu, a bugenwille pokryte są białym kurzem. Może kiedyś spojrzę na ten widok z czułością. Teraz, choć nie wzbudza we mnie roztkliwienia, dodaje mi pewności siebie. A pewność siebie jest cechą, którą bardzo cenię, chociaż nabrałam jej dość późno. Chyba właśnie dlatego, że On polega na mnie, stałam się wreszcie śmiała. W każdym razie pozbyłam się nieufności, onieśmielenia, strachu przed obcymi. Jestem zupełnie inna, niż byłam, gdy jechałam po raz pierwszy do Manderley – pełna nadziei i dobrych chęci, obciążona rozpaczliwą nieśmiałością i pragnąca podobać się wszystkim. Właśnie ten mój brak pewności siebie wywierał złe wrażenie na ludziach pokroju pani Danvers. Jak niekorzystnie musiałam się przedstawiać po Rebece. Widzę siebie teraz, gdy pamięć rzuca pomost poprzez lata – moje proste, krótkie włosy i młodą, nieupudrowaną twarz. Widzę siebie w źle skrojonym żakiecie, spódnicy i swetrze własnej roboty, sunącą za panią van Hopper jak nieśmiały, płochliwy źrebak. Zwykle wkraczała przede mną do restauracji na lunch, a jej krępa, kołysząca się w biodrach postać z trudem utrzymywała równowagę na chybotliwych, wysokich obcasach. Bluzka strojona w falbanki zdobiła jej obfity biust, nowy kapelusz z ogromnym, sterczącym ukośnie piórem osłaniał wysokie czoło. W jednej ręce niosła dużą torebkę, taką, w której z łatwością mieszczą

się paszporty, kalendarzyki i notesy brydżowe, a w drugiej trzymała nieodłączny lornion – wroga osobistych spraw innych ludzi.

Zmierzała wprost do swego stołu przy oknie w rogu sali i zbliżając lornion do małych oczek, rozglądała się na wszystkie strony, po czym wypuszczała z ręki lornion zawieszony na czarnej wstążce i wykrzykiwała ze wstrętem:

– Ani jednej znanej osobistości! Powiem dyrekcji, że muszą mi obniżyć rachunek. Cóż oni sobie myślą, że po co ja tutaj przyjechałam? Żeby patrzeć na chłopców hotelowych?!

Przywoływała do siebie kelnera głosem ostrym, urywanym, zgrzytającym jak piła.

Jak bardzo inna jest mała restauracyjka, gdzie teraz jadamy, od tej wielkiej, ozdobnej i wspaniałej sali hotelu Côte d'Azur w Monte Carlo. I jak bardzo różni się od pani van Hopper mój obecny towarzysz, którego mocne, kształtne ręce obierają teraz mandarynkę w spokojny, metodyczny sposób i który spogląda na mnie od czasu do czasu z uśmiechem. Tłuste palce pani van Hopper, ozdobione licznymi pierścionkami, chwytają za talerz, na którym piętrzy się stos ravioli, a oczy jej spoglądają podejrzliwie na mój talerz w obawie, że może wybrałam coś lepszego. Niepotrzebnie się niepokoiła, gdyż kelner, z niesamowitą bystrością wrodzoną kelnerom, dawno wyczuł, że zajmuję stanowisko niższe i zależne od niej, i postawił przede mną talerz z kawałkiem szynki i ozora, który ktoś przed półgodziną odesłał do bufetu, bo wędlina była źle pokrojona.

Dziwna jest ta niechęć służby i wyraźnie okazywane zniecierpliwienie. Pamiętam jakiś pobyt z panią van Hopper u znajomych na wsi. Pokojówka nigdy nie zjawiała się na mój nieśmiały dzwonek, nie przynosiła mi trzewików, a wczesną ranną herbatę, zawsze lodowato zimną, stawiała pod drzwiami sypialni. To samo działo się w hotelu Côte d'Azur, chociaż nie w tak jaskrawej formie. Czasem ta przemyślana obojętność zmieniała się w poufałość obłudną i obraźliwą, sprawiającą, że kupowanie znaczków od portiera było męczarnią, której wolałam unikać.

Jakże młoda i niedoświadczona musiałam się wydawać i jak silnie to odczuwałam. Byłam zbyt wrażliwa, zbyt naiwna, słowa raniły mnie jak ciernie, choć w rzeczywistości wypowiadane były lekko.

Pamiętam dobrze tę porcję szynki i ozora – wyschnięte, nieapetyczne skrawki – ale nie miałam odwagi jej odesłać. Jadłyśmy, milcząc, bo pani van Hopper lubiła jeść w skupieniu. Sos ściekał jej po podbródku, co świadczyło, że ravioli jej smakują.

Nie był to widok wzbudzający we mnie apetyt. Odwracając od niej wzrok, zobaczyłam, że ktoś zmierza do sąsiedniego stołu, niezajmowanego od trzech dni. Maître d'hôtel, z uniżonym ukłonem przeznaczonym wyłącznie dla znakomitych gości, wskazywał miejsce nowemu przybyszowi.

Pani van Hopper odłożyła widelec i sięgnęła po lornion. Zaczerwieniłam się za nią ze wstydu, podczas gdy ona wpatrywała się w naszego sąsiada. Ten, nie zdając sobie sprawy z jej zainteresowania, przeglądał kartę z namysłem. Po chwili pani van Hopper zatrzasnęła lornion i nachyliła się do mnie przez stół. Jej małe oczka błyszczały podnieceniem, gdy powiedziała nieco za głośno:

– To jest Max de Winter, właściciel Manderley. Słyszałaś oczywiście o tej posiadłości. De Winter wygląda źle, prawda? Mówią, że nie może przeboleć śmierci swojej żony…

3

Ciekawa jestem, jak by się ułożyło moje życie, gdyby pani van Hopper nie była taką snobką.

Bawi mnie myśl, że mój los wisiał na nitce jej snobizmu. Ciekawość mojej pracodawczyni była chorobliwa, przechodząca niemal w manię. Z początku byłam tym przerażona i okropnie zawstydzona. Czułam się jak chłopiec, który znosi chłostę za swego pana, gdy widziałam, jak ludzie śmieją się za jej plecami, wymykają się szybko z pokoju, kiedy ona wchodzi, a nawet znikają za drzwiami dla służby w korytarzu hotelowym.

Od wielu lat pani van Hopper przyjeżdżała do hotelu Côte d'Azur. Poza brydżem jej głównym zajęciem, powszechnie już znanym w Monte Carlo, było udawanie znajomości z wybitnymi osobistościami, choćby widziała je tylko raz w życiu na drugim końcu hali pocztowej. W jakiś swoisty sposób nawiązywała rozmowę i zanim ofiara zdążyła poczuć niebezpieczeństwo, pani van Hopper zapraszała ją do swego apartamentu. Sposób ataku był tak nagły i niespodziewany, że rzadko kiedy ofierze udawało się wymknąć. W hotelu stale okupowała wybraną kanapę w salonie, między holem a przejściem do restauracji. Tam piła kawę po lunchu i obiedzie. Wszyscy wchodzący i wychodzący musieli przejść obok niej. Niekiedy używała mnie za przynętę, a ja, nienawidząc swej roli, musiałam wędrować na drugi koniec salonu, by prosić o pożyczenie książki lub gazety, pytać o adres jakiegoś sklepu lub zawiadamiać o spotkaniu wspólnego zna-

jomego. Wydawało się, że znakomitości są dla niej tak niezbędne jak kleik dla chorego. Chociaż wolała ludzi utytułowanych, każda twarz widziana kiedyś w tygodnikach poświęconych życiu towarzyskiemu była także pożądana. Nazwiska wymienione w kolumnie plotek – autorzy, artyści, aktorzy, nawet pośledniego gatunku – imponowały jej, o ile dowiedziała się o nich z prasy.

Widzę panią van Hopper, jakby to było wczoraj, tego pamiętnego popołudnia – mniejsza z tym przed ilu laty – gdy siedziała na swej ulubionej kanapie, rozważając metodę ataku. Domyślałam się z jej roztargnienia i sposobu uderzania lornionem o zęby, że rozważa różne możliwości. Gdy zrezygnowała z leguminy i szybko zjadła owoce, domyśliłam się, że chce skończyć lunch wcześniej od nowego przybysza, aby zająć miejsce na kanapie, obok której będzie musiał przejść. Nagle zwróciła się do mnie z błyskiem w małych oczkach:

– Idź prędko na górę i odszukaj list od mego siostrzeńca. Pamiętasz, ten pisany w czasie podróży poślubnej, z fotografią. Przynieś mi go zaraz.

Zrozumiałam, że ułożyła sobie plan działania i że siostrzeniec ma być pretekstem do zawarcia znajomości. Nie po raz pierwszy drażniła mnie rola, którą musiałam odgrywać w jej planach. Jak pomocnik żonglera podawałam odpowiednie rekwizyty, po czym milcząca i uważna czekałam na dalsze wskazówki. Nieznajomy nie będzie zadowolony z natręctwa, tego byłam pewna. Z tego, co usłyszałam o nim podczas lunchu – garść plotek zebranych przez panią van Hopper przed dziesięcioma miesiącami z gazet i przechowywanych w pamięci do dalszego użytku – mogłam sobie wyobrazić, pomimo mojej młodości i niedoświadczenia życiowego, że niechętnie przyjmie pogwałcenie swojej samotności. Dlaczego przyjechał właśnie do hotelu Côte d'Azur w Monte Carlo, było wyłącznie jego sprawą, i każdy by to zrozumiał prócz pani van Hopper. Takt był zaletą jej nieznaną, dyskrecja także, a ponieważ żyła plotkami, przybysz musi paść ofiarą jej dociekań. Znalazłam list w przegródce biurka i zawahałam się przez chwilę, zanim zeszłam do salonu. Wydawało mi

się, choć było to bezsensowne, że w ten sposób darowuję mu kilka minut samotności.

Pragnęłam zdobyć się na tyle odwagi, by zejść schodami służbowymi okólną drogą do restauracji i ostrzec go przed zasadzką. Byłam jednak zbyt konwencjonalna, nie wiedziałam też, jak należałoby to powiedzieć. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić na swoje miejsce obok pani van Hopper i patrzeć spokojnie, gdy ona, niby wielki, zadowolony z siebie pająk, snuć będzie swą sieć, aby w nią schwytać przybysza.

Zamarudziłam dłużej, niż przypuszczałam, bo gdy wróciłam do salonu, zobaczyłam, że Maxim de Winter wyszedł już z sali jadalnej, a pani van Hopper, bojąc się stracić okazję, nie czekała na list i zaryzykowała bezczelnie zaczepić go sama. Właśnie siedział obok niej na kanapie. Podeszłam i podałam jej list bez słowa. On wstał natychmiast, a pani van Hopper, zaróżowiona z sukcesu, machnęła niedbale ręką w moją stronę i wymamrotała moje nazwisko.

– Pan de Winter wypije z nami kawę, idź i poproś kelnera o jeszcze jedną filiżankę – powiedziała tonem, który wskazywał moją pozycję towarzyską. Oznaczał on, że jestem młodym, nieważnym stworzeniem i że nie ma potrzeby wciągać mnie do rozmowy. Zwykle mówiła tym tonem, gdy chciała wywrzeć wrażenie. Sposób przedstawiania mnie był pewnego rodzaju samoobroną, gdyż kiedyś wzięto mnie za jej córkę, co wprawiło nas obie w wielkie zakłopotanie.

Lekceważący ton wskazywał, że można mnie spokojnie ignorować, toteż kobiety witały mnie lekkim, niedbałym skinieniem głowy i natychmiast zapominały o moim istnieniu, a mężczyźni z uczuciem wielkiej ulgi zagłębiali się w wygodnych fotelach, zadowoleni, że nie muszą wysilać się na grzeczności.

Byłam więc zaskoczona tym, że de Winter nie usiadł i że sam przywołał kelnera.

– Muszę się sprzeciwić – zwrócił się do pani van Hopper. – To ja proszę obie panie na kawę – i zanim się zorientowałam, usiadł na moim twardym krześle, a ja znalazłam się na kanapce obok mojej pracodawczyni.

Widać było, że jest niezadowolona z takiego obrotu rzeczy, ale po chwili opanowała się i pochyliwszy swe obfite kształty nad stołem, zwróciła się do de Wintera, mówiąc głośno i potrząsając listem:

– Poznałam pana od razu, jak tylko pan wszedł do restauracji, i pomyślałam: O, to przecież pan de Winter, przyjaciel Billa, muszę mu pokazać fotografie Billa i jego żony robione w czasie podróży poślubnej. Proszę zobaczyć. To Dora. Czyż nie jest urocza? Ta drobna, szczupła postać, te wielkie oczy. Tu, na tym zdjęciu opalają się w Palm Beach. Bill szaleje za nią, co jest zrozumiałe. Nie znał jej jeszcze wtedy, gdy urządzał to przyjęcie w hotelu Claridge, gdzie pana spotkałam po raz pierwszy. Ale pan pewnie nie pamięta takiej starszej pani jak ja?

Mówiąc to, rzuciła mu prowokacyjne spojrzenie i zalotny uśmiech.

– Przeciwnie, pamiętam panią doskonale – odparł de Winter i zanim zdołała chwycić go w potrzask wspomnień pierwszego spotkania, podał jej papierośnicę. Ceremonia zapalania papierosów powstrzymała panią van Hopper na chwilę. – Nie sądzę, żebym się dobrze czuł w Palm Beach – powiedział de Winter, gasząc zapałkę.

Spojrzawszy na niego, pomyślałam, że wyglądałby dziwnie na tle Florydy. Należał do miasta z piętnastego wieku, miasta otoczonego murami warownymi, o wąskich uliczkach, wybrukowanych kamieniem, i strzelistych wieżach, miasta, którego mieszkańcy nosili spiczaste buty i długie pończochy.

Twarz miał ciekawą, wrażliwą, jakby ze średniowiecza. Przypominała mi ona portret Nieznanego Dżentelmena, który widziałam w jakiejś galerii. Gdyby można było zamienić angielski tweed na czarny strój z koronkami przy kołnierzu i mankietach, spoglądałby na nas z odległej przeszłości – przeszłości, kiedy to męskie postacie w opończach snuły się po nocy i zatrzymywały w cieniu starych bram, wędrowały po wąskich schodach i ciemnych lochach – przeszłości szeptów w mroku, lśniących szpad i spokojnej, wytwornej kurtuazji.

Chciałam sobie przypomnieć starego mistrza, który namalował ten portret. Obraz stał w rogu sali, a oczy spoglądały z ciemnej ramy na każdego przechodnia.

Pani van Hopper i de Winter rozmawiali, ale ja wskutek rozmyślania zgubiłam wątek.

– Nie, nawet przed dwudziestu laty nie – mówił de Winter – to mnie nigdy nie bawiło.

Pani van Hopper roześmiała się zadowolona.

– Gdyby Bill miał taką posiadłość jak Manderley, nie szukałby rozrywek w Palm Beach – powiedziała. – Mówiono mi, że Manderley jest jak z bajki, że nie można tego inaczej określić.

Przerwała, spodziewając się uśmiechu de Wintera, ale on bez zmiany wyrazu twarzy palił papierosa, a ja zauważyłam nikłą jak pajęczyna zmarszczkę między brwiami.

– Oczywiście widziałam fotografie Manderley – nie ustawała pani van Hopper. – Wygląda zachwycająco. Bill mówił mi, że żadna ze słynnych rezydencji nie umywa się do Manderley. Dziwi mnie, że pan w ogóle może stamtąd wyjeżdżać.

Milczenie pana de Wintera stawało się coraz bardziej przykre. Było to dla każdego oczywiste, że pani van Hopper zagalopowała się jak niezdarne źrebię na niedozwolony teren. Czułam, że się czerwienię i pogrążam przez nią w upokorzeniu i wstydzie.

– Oczywiście wy, Anglicy, jesteście wszyscy tacy sami, jeśli chodzi o wasze domy – perorowała coraz głośniej. – Mówicie o nich lekceważąco, aby nikt nie posądził was o dumę. Manderley ma słynny krużganek pieśniarzy i bardzo cenne portrety, prawda?

Zwróciła się do mnie, jakby wyjaśniając:

– Pan de Winter jest tak skromny, że nie chce się do tego przyznać, ale wydaje mi się, że ta piękna rezydencja jest w posiadaniu jego rodziny od czasów Wilhelma Zdobywcy. Mówią, że krużganek pieśniarzy to istny klejnot. Podobno pańscy przodkowie często podejmowali gości królewskich w Manderley?

To przekraczało wszystko, co dotychczas zdarzało mi się znosić, nawet od niej, ale jego szybka replika była niespodziewana:

– Po raz ostatni w Manderley podejmowany był Ethelred, zwany Niegotowym. Właśnie nadano mu ten przydomek, gdy gościł u mojej rodziny. Zawsze spóźniał się na obiad.

Zasługiwała na taką odpowiedź. Myślałam, że się poczuje dotknięta, ale choć to się wyda nieprawdopodobne, nie zrozumiała ironii. Wiłam się zawstydzona jak dziecko, które dostało klapsa.

– Doprawdy? – plotła dalej. – Nie miałam o tym pojęcia. Słabo znam historię, a królowie angielscy plączą mi się w głowie. Jakie to ciekawe! Muszę o tym napisać mojej córce, ona się bardzo interesuje historią.

Zapanowała cisza, a ja poczułam, że znowu się czerwienię. Byłam za młoda, na tym polegało nieszczęście. Gdybym była starsza, spojrzałabym na niego z porozumiewawczym uśmiechem. Jej nieprawdopodobne zachowanie stworzyłoby pewną więź między nami. Tymczasem byłam głęboko zawstydzona i przeżywałam jedną z licznych męczarni młodości.

Sądzę, że de Winter odczuł moje zakłopotanie, gdyż nachylił się do mnie i łagodnie spytał, czy mam ochotę jeszcze napić się kawy. Gdy odmówiłam, poczułam na sobie spojrzenie jego zdziwionych oczu. Zastanawiał się, jaki stosunek łączy mnie z panią van Hopper i czy obie mamy równie błahe zainteresowania.

– Jak się pani podoba Monte Carlo, a może się wcale pani nie podoba? – zapytał, wciągając mnie do rozmowy, co mnie zupełnie zmieszało. Zachowywałam się jak podlotek, który niedawno opuścił szkołę. Powiedziałam coś banalnego i głupiego, że Monte Carlo jest sztuczne, lecz zanim skończyłam bąkać moje zdanie, pani van Hopper przerwała mi:

– Ona jest zepsuta, proszę pana, na tym cała rzecz polega. Większość dziewcząt oddałaby chętnie swoje oczy, żeby zobaczyć Monte Carlo.

– To by się chyba mijało z celem? – powiedział z uśmiechem.

Pani van Hopper wzruszyła ramionami, wypuszczając wielki obłok dymu z papierosa. Myślę, że nie zrozumiała go od razu.

– Jestem wierna Monte Carlo – powiedziała. – Nie znoszę zimy w Anglii, po prostu nie służy memu zdrowiu. Ale co pana

tutaj sprowadza? Pan nie jest stałym gościem na Riwierze. Czy pan ma zamiar grać w baka czy też w golfa?

– Jeszcze sam nie wiem, wyjechałem dość nagle.

Jego własne słowa musiały wywołać jakieś wspomnienie, gdyż twarz zachmurzyła mu się znowu i lekko zmarszczył brwi. Pani van Hopper dalej paplała, nic nie dostrzegając:

– Oczywiście w Manderley nie ma mgieł, to zupełnie co innego. Zachodnia część kraju musi być urocza wiosną.

De Winter sięgnął po popielniczkę i zgasił papierosa. Zauważyłam zmianę wyrazu w jego oczach. Coś nieokreślonego pojawiło się w nich na chwilę, a ja odniosłam wrażenie, że dostrzegłam to, czego nie powinnam była widzieć.

– Tak – odpowiedział krótko. – Manderley jest teraz w pełnej krasie.

Zapanowało milczenie, które trwało kilka minut. Milczenie to niepozbawione było napięcia. Spojrzałam ukradkiem na de Wintera. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wyglądał zupełnie jak mój Nieznany Dżentelmen, który otulony opończą, tajemniczo snuje się nocą po krużgankach zamku. Głos pani van Hopper wdarł się w moje marzenia jak dzwonek.

– Ma pan tu pewnie wielu znajomych, chociaż ja znajduję, że Monte Carlo jest bardzo nudne tej zimy. Widzi się tak mało dobrze znanych twarzy. Książę Middlesexu przybył tu na swoim jachcie, ale jeszcze nie byłam na pokładzie.

O ile mi wiadomo, nigdy na tym jachcie nie była.

– Pan na pewno zna Nell Middlesex – ciągnęła pani van Hopper. – Jaka to czarująca kobieta! Mówią, że to drugie dziecko nie jest jego, ale ja w to nie wierzę. Ludzie wygadują niestworzone rzeczy o ładnych kobietach. A ona jest taka urocza. Niech pan powie, czy to prawda, że małżeństwo Caxton – Hyslop nie jest udane?

Snuła zawiłą sieć plotek, nie zauważając, że nazwiska te były mu zupełnie obce, nic nieznaczące i że w miarę jej paplania de Winter stawał się coraz chłodniejszy i coraz bardziej milczący. Nie przerwał jej ani razu ani też nie spojrzał na zegarek. Wy-

dawało się, że nakazał sobie dobre zachowanie od chwili, gdy zakpił z niej w mojej obecności, a teraz przestrzegał zawzięcie dobrych form towarzyskich, uważając, żeby jej znowu nie obrazić. Uwolnił go wreszcie chłopiec hotelowy, oznajmiając, że krawcowa czeka na panią van Hopper w jej apartamencie.

De Winter wstał natychmiast.

– Nic chcę pani zatrzymywać – powiedział. – Moda zmienia się obecnie tak szybko, że może nawet ulec zmianie, zanim pani znajdzie się na górze.

Nie zrozumiała złośliwości, lecz przyjęła ją jako dowcip.

– To wspaniale, że pana tutaj spotkałam – mówiła, idąc do windy. – Teraz gdy zdobyłam się na odwagę, by przełamać pierwsze lody, mam nadzieję, że będziemy się widywać częściej. Musi pan wpaść do mnie na koktajl. Spodziewam się jutro wieczór kilku osób, może pan się do nas przyłączy?

Odwróciłam się, by nie widzieć jego zakłopotania.

– Bardzo żałuję – odpowiedział de Winter – ale jutro prawdopodobnie pojadę do Sospel i nie wiem, kiedy wrócę.

Nie nalegała więcej, ale stała nadal przy drzwiach windy.

– Mam nadzieję, że dostał pan dobry pokój. Hotel jest na wpół pusty, więc jeśli jest panu niewygodnie, niech pan zażąda zmiany. Pewnie pański kamerdyner rozpakował już rzeczy?

Poufałość ta była nawet jak na nią niezwykła. Dostrzegłam wyraz jego twarzy.

– Nie mam kamerdynera – powiedział spokojnie. – Może pani zechciałaby się tym zająć?

Tym razem strzał był celny, gdyż pani van Hopper zaczerwieniła się i zaśmiała nieco zmieszana.

– Nie sądzę… – zaczęła i nagle zwróciła się do mnie: – Może ty byś mogła pomóc panu de Winterowi, jeśli sobie tego życzy. Potrafisz przecież być pożyteczna.

Nastąpiła chwila ciszy, a ja stałam zmieszana, czekając na jego odpowiedź. Spojrzał na nas drwiąco, sardonicznie, z cieniem uśmiechu na ustach.

– Przemiła propozycja – powiedział – ale ja przestrzegam dewizy mojej rodziny. Ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje samotnie. Może pani o tym słyszała.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

– To śmieszne – powiedziała pani van Hopper, gdy jechałyśmy windą. – Czy myślisz, że to nagłe odejście było przejawem złego humoru? Mężczyźni wyprawiają dziwne rzeczy. Pamiętam, jak pewien znany pisarz na mój widok uciekł schodami służbowymi. Myślę, że miał do mnie słabość i nie był pewien siebie. Oczywiście byłam wtedy młodsza.

Winda zatrzymała się gwałtownie na naszym piętrze. Chłopiec otworzył drzwi.

– À propos, moja droga – mówiła, gdy szłyśmy korytarzem – nie myśl, że jestem złośliwa, ale dziś po południu narzucałaś się trochę panu de Winterowi. Twoje wysiłki, by zmonopolizować konwersację, wprawiały mnie w zakłopotanie. Jestem pewna, że jego też. Mężczyźni nienawidzą tego rodzaju zachowania.

Nic nie odpowiedziałam. Nie było na to żadnej odpowiedzi.

– Och, nie masz się czego obrażać – roześmiała się i wzruszyła ramionami – ostatecznie jestem odpowiedzialna za twoje zachowanie się tutaj. Chyba starsza kobieta, która mogłaby być twoją matką, może ci zwrócić uwagę. *Eh bien, Blaize, je viens…** – Nucąc jakąś melodię, weszła do sypialni, gdzie czekała na nią krawcowa.

Uklękłam na kanapce przy oknie i wyjrzałam na dwór. Słońce nadal świeciło jasno, wiał wesoły wiatr. Za pół godziny będziemy grać w brydża przy szczelnie zamkniętych oknach i rozgrzanych kaloryferach.

Myślałam o popielniczkach, które będę musiała oczyszczać, i o zgniecionych niedopałkach ze śladami pomadek do ust zmieszanych z niedojedzonymi czekoladkami. Umysł wychowany na loteryjkach niełatwo chwyta brydża. Nadto znajomi pani van Hopper nudzili się, grając ze mną.

---

* Już idę, Blaize... (franc.).

Czułam, że moja młodość hamuje swobodę ich konwersacji, podobnie jak obecność pokojówki w jadalni do chwili podania deseru. Nie wypadało im pogrążać się swobodnie w trzęsawisko skandalów i plotek. Mężczyźni zachowywali się ze sztuczną serdecznością i zadawali mi żartobliwe pytania z historii czy malarstwa, przypuszczając, że niedawno skończyłam szkołę i że na żaden inny temat nie potrafię rozmawiać.

Westchnęłam i odwróciłam się od okna. Słońce było takie zachęcające, a wesoły wiatr pędził po morzu białą pianę fal. Przypomniałam sobie zakątek w Monako, który widziałam przed kilku dniami: przechylony ze starości dom stojący na wybrukowanym kamieniami placu. Wysoko, w rozpadającym się dachu, było okno wąskie jak szpara. Mógłby się w nim ukazać średniowieczny duch. Wzięłam z biurka papier i ołówek i zaczęłam rysować od niechcenia profil o orlim nosie. Posępne spojrzenie, wydatny nos, pogardliwy wyraz ust. Dodałam spiczastą bródkę i koronki przy kołnierzu, tak jak uczynił to ongiś stary mistrz.

Ktoś zapukał do drzwi. Windziarz wszedł z kopertą w ręce.

– Madame jest w sypialni – powiedziałam mu, ale potrząsnął głową i oświadczył, że list jest dla mnie. Rozdarłam kopertę i znalazłam w środku pojedynczą kartkę, na której widniało kilka słów skreślonych nieznanym pismem.

„Proszę mi wybaczyć. Zachowałem się bardzo niegrzecznie dziś po południu".

To wszystko. Ani podpisu, ani wstępnego zwrotu. Ale moje nazwisko wypisane było na kopercie, i to bezbłędnie, co się rzadko zdarza.

– Czy będzie odpowiedź? – spytał chłopiec.

Oderwałam wzrok od kartki.

– Nie, nie będzie żadnej odpowiedzi.

Po wyjściu chłopca schowałam kartkę do kieszeni i powróciłam do mego rysunku, ale z niewiadomych przyczyn przestał mi się on podobać. Twarz była sztywna i martwa, a koronkowy kołnierz i broda przypominały rysunki z rebusów.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.